Rok VI. Warszawa - Kraków, 20. Czerwca 1914. № 73.

PRZEGLĄD KRYTYKI
ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem
Józefa z Rozprzy Krobickiego.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ZGODA 6.

PRENUMERATĘ w cenie 2 rb. 40 kop. rocznie — wraz z przesyłką pocztową, lub odnoszeniem do domu — przyjmują wszystkie księgarnie. Cena pojedyńczego numeru: kop. 20.
OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:

ANTONI PIOTROWSKI.

W sprawie „Muzeum Narodowego“ w Warszawie.

Społeczeństwo nasze nie lubi słyszeć prawdy. Może dla tego, że prawda, rzeczywistość, jest dla nas wroga. Jednakże nie powinniśmy chować głowy, jak strusie w piasek, bo prawda przejdzie po nas i podepce nas.

Powinniśmy jej przeto słuchać ze spokojem i starać się — o ile to jest w naszej mocy — przeciwdziałać smutnej rzeczywistości.

Aby jednak dojść do tego, trzeba pozwolić mówić i pisać prawdę każdemu, tak jak ją szczerze za taką uważa. Wszelkie omawianie i owijanie prawdy w bawełnę banalnych i zużytych frazesów — na nic się nie zda. Pomaganie do spokojnego trawienia jest zadaniem wody Franciszka Józefa, lub Purgenu — ale nie prasy.

Probowałem mówić często to, co myślę, w dziennikach poczytnych—ale spotykałem się z *życzliwą* uwagą: „non possumus‘.. nie możemy... nasi czytelnicy i t. d.

Szkoda, że nasze dzienniki mają takich czytelników.

Zachodzi obawa, już dzisiaj usprawiedliwiona, że zanim gmach Muzeum stanie się faktem, będzie zapchany od góry do dołu darami, które kiedyś trzeba będzie wyrzucać. Muzeum nie może być „Pociejowem“, w którym megalomani na wieczną pamiątkę swej próżności zamieszczać będą swoje połamane graty. Muzeum powinno być miejscem, w którem znajdować się w dziełach swoich powinno być dla artystów zaszczytem i ostatniem słowem uznania.

Trzeba od pierwszego dnia myśleć o tem, że Muzeum, choćby najobszerniejsze, jest i będzie miejscem *ograniczonem* — a próżność ludzka jest nieograniczona.

Jeżeli Muzeum przejmie dar lub zakupi 700 albo nawet 50 utworów jednego artysty to popełni błąd, który się wkrótce zemści. A takie właśnie dwa fakty są już w fazie urzeczywistniania się.

Że obrazy pp. Wyczółkowskiego i Chełmińskiego mogą figurować w Muzeum, można się na to zgodzić – ale nigdy nie można się zgodzić na to, żeby się znajdowały w tak ogromnej liczbie egzemplarzy. Pamiętajmy o tem, że mamy nadzieje istnieć jako naród, że dzień dzisiejszy jest tylko momentem, a *jutro* może być bardzo długie. Nie zamykajmy przeto Muzeum — dla przyszłych.

Nie mamy jeszcze ani Matejki, ani Siemiradzkiego, ani Brandta, ani Chełmońskiego, ani Piechowskiego, ani Maxa i Aleksandra Gierymskich, ani Kotsisa, ani Pruszkowskiego, ani Lipińskiego, ani Streita, ani Alfreda Kowalskiego, ani Gersona i wielu wielu innych—ale za to mamy już prawie *kilkaset* Wyczółkowskich, a w tem *kilkadziesiąt portretów p. Feliksa Jasieńskiego.* Mamy *czterdzieści cztery* Chełmińskiego, ale ani jednego *Chełmońskiego.* Pan Knödler, który jest ,,Kunsthädlerem“, nie mógł sprzedać — więc my to z wdzięcznością przyjmujemy.

To naiwne.

Szanujmy każdy metr kwadratowy na ścianach naszego Muzeum, którego zresztą jeszcze nie mamy. Szukajmy — starajmy się, prośmy, intrygujmy, aby gromadzić w Muzeum dzieła takie, których potem nie będziemy potrzebowali usuwać.

W Zamościu np. istnieje arcydzieło włoskiego renesansu „Zwiastowanie“ — jeden z najlepszych dzieł mistrza Carla Dolce — które Wielki Kanclerz, Jan Zamojski kupił osobiście we Włoszech i umieścił w Kolegiackim kościele Zamojskim, którego był kolatorem. Takie arcydzieło mamy tylko jedno w kraju. Postarajmy się pozyskać je do Muzeum. Wisi obraz ten w bocznej kaplicy, gdzie pożar może go z dnia na dzień bezpowrotnie zniszczyć.

Społeczeństwo rozumne - porozumiało by się już dawno z zarządem Kolegjaty, z arcybiskupem, aby uzyskać oryginał do Muzeum, a dokładną kopię umieścić na jego miejscu. Ale jakże tu dziś mówić o tem.. jeżeli dotąd obraz ten nie był przez nikogo urzędownie choćby nawet tylko zfotografowany!

Znakomicie zfotografował go kiedyś dla mnie p. Strzyżewski, fotograf z Zamościa. Chciałem go umieścić w jednem z naszych pism illustrowanych — ale redakcya nie uznała za stosowne i możebne, zwrócić mi choćby tylko koszty fotografii...

Jeżeli chodzi o 50 tysięcy rubli na instrumenty dla Filharmonii — znajduje się ta suma momentalnie. Nie wątpię więc, że kilka tysięcy rubli, potrzebne na kopię obrazu Zamojskiego, powinny się również znaleźć łatwo — i że Wysoki kler, który zdaje sobie już z tego sprawę, że trzeba nareszcie zabytki naszej kultury szanować, nie będzie chyba stawiał przeszkód Bo smutny mieliśmy już przykład na portretach historycznych, które z kościoła przewędrowały do kramiku—na Świętokrzyską ulicę..

STANISŁAW POTOCKI.

„Czyli się z wiekiem świat pogorsza“?

(Rozprawa o duchu pism Machiawela, z uwagami nad tem zapytaniem Czyli się z wiekiem świat pogorsza?).

Ciąg dalszy.

Dostępuie się ieszcze panowania zbrodniami, albo sprzyianiem współobywatelów. Potępiaiąc pierwszy z tych środków Machiawel, dwa iego daie przykłady: U dawnych Agatoklesa Sycyliyczyka, syna garncarza, człowieka odważnego i światłego lecz głęboce zbrodniarza, który przeszedłszy przez wszystkie stopnie zabiegów, by dostąpił Syrakuzańskiéy pretury, wnet stał się tyranem oyczyzny swoiéy. Za czasów zaś swoich przytacza Oliwerota z Fermo, od dzieciństwa sierotę, który opanował władzę naywyższą w Fermo oyczyźnie swoiéy poboiem nayznakomitszych obywateli, a sam się stał ofiarą Cezara Borgii.

Machiawel mniema, że powodzenie przywłaszczyciela, zawisło od należytego użycia okrucieństwa. Jeśli chce by mu się wiodło pomyślnie, niech mu prędki koniec założy, niech ukoi umysły słodyczą i dobrodzieystwami, bo nie może się spodziewać, iedno nieszczęścia, ieśli nie zastąpi zaufaniem boiaźni.

Drugim sposobem iest przychylność ludu, lub sprzyianie możnych; powodzenie iego zawisło od przewagi iednego z tych dwóch stronnictw, i na nim wzrasta xięstwo cywilne. Machiawel popiera przykładami radę, którą daie nowemu xiążęciu, ciągłego poszukiwania przyiaźni ludu, prawdziwéy swoiéy podpory. Do téy ważnéy przezorności, ieśli przyłączy ostrożność należytego obwarowania mieysca mieszkania swoiego, nie będzie miał żadnéy obawy z strony sąsiadów. Przepisami i przykładem miast niemieckich czasu swego, wskazuie Xięciu sposoby wczesnego przygotowania i zachęcenia ludu do cierpliwego znoszenia klęsk długiego oblężenia i trudów woyny. Mówi potém o xięstwach duchownych, które poczytuie za iedynie szczęśliwe, daléy o władzy świeckiey Papieżów, co się stała tak straszną ambitem, skarbami i bronią Aleksandra VI. i następcy iego Juliusza II.

Zasadą Państw, są dobre prawa i oręż, nie masz praw bez oręża mówi Machiawel. Kray broni się albo swoim własném woyskiem albo zakupném, posiłkowém lub téż pomieszaném. Dowodzi gruntownemi przyczynami, opartemi na licznych i zniewalaiących dowodach, że woyska zakupne są nieużyteczne a nawet niebezpieczne. Naznacza ich początek we Włoszech, w czasach kiedy Papieże zaczynaiąc wzrastać, ta kraina podzieliła się na rozmaite małe Państwa, które dla obrony przeciwko nim udały się do cudzoziemców. Przykład Florencyi, która wezwała 10,000 Francuzów by uiarzmiać Pizę, i Cesarzów wschodnich, co sprowadzili 10,000 Turków, których się potém pozbyć nie mogli, dowodzą, że woyska posiłkowe są ieszcze niebezpiecznieysze nad zakupne. Tę prawdę zatwierdziło postępowanie Cezara Borgii, który pozbył się iednych i drugich, nie chcąc walczyć iak tylko własnemi żołnierzami, przykładem Hierona króla Syrakuzańskiego, który rozsiekać kazał zakupnych żołnierzy, by nie zachował tylko kraiowe woysko; nakoniec wzorem Karola VII, który wygnawszy Anglików z Francyi, przewiduiąc iż będzie potrzebował dla siebie samego siły zbroynéy na któréyby mógł polegać, ustanowił po całym kraiu stałe chorągwie piechoty i iazdy. Syn iego Ludwik XI. i następcy, zastąpili ie Szwaycarami: błąd który podług Machiawela był źródłem wszystkich klęsk tego królestwa, iak sprzymierzenie się z Gotami ruiną Państwa Rzymskiego. Chce on, by Xiążę całkiem się poświęcił woiennemu rzemiosłu, środkowi tak istotnemu ku nabyciu i zachowaniu Państwa, by się w niém ćwiczył nawet wśród pokoiu, poluiąc, iużto dla zahartowania się do pracy, iako téż by poznał położenie kraiu swego i umiał bronić go w potrzebie; czytaniem historyi wielkich wodzów, poszukiwaniem przyczyn ich zwycięztw, lub klęsk, i przybraniem sobie za wzór którego z naysławnieyszych.

Rozwiia w reszcie dzieła, iak sobie Xiążę z poddanemi postępować powinien. Kładzie za zasadę, że każdy Xiążę co chce być dobrym, wśród tylu ludzi którzy niemi nie są, stać się musi prędzéy czy późniéy ich ofiarą, i że są cnoty, które acz szacowne w człowieku prywatnym, staią się nagannemi w Xiążęciu. Dobrze rozważywszy i udowodniwszy za pomocą historyi, korzyści i szkody które ze sobą hoyność lub oszczędność pociągaią, wnosi, iż Xiążę powinien gardzić wymówką skąpstwa, nigdy nie zapominaiąc że pieniądze są zasadą iego potęgi. Jeśli nadeydą zamieszki, wstrzymawszy nieco użycie ostatecznych środków, nie powinien krwi ochraniać, by iéy potém więcéy wylać nie musiał. Machiawel chce, żeby Xiążę przekonany że w ogólności ludzie są niewdzięczni, niestali, chciwi, wrażał im obawę, ale żeby szanował zawsze maiątki i żony poddanych swoich; by łączył przebiegłość do potęgi, by zmieniał podług okoliczności sposób swego postępowania, by nadewszystko nie zapominał, iż Xiążę iest często przynaglonym gwałcić ku własnéy korzyści przepisy moralności, zmyślać cnoty których nie ma, i omawiać pospólstwo, co się przywiązuie do pozorów i nie sądzi iedno podług zdarzenia. Ciekawemi są szczegóły, któremi Machiawel usiłuie usprawiedliwić te przepisy przykładami Marka Aureliusza, Kommoda, Pertynaxa, Juliana Sewera, i innych, mocą których chce dowieść, dla czego wyłączywszy inne okoliczności, iednych panowanie spokoyném było, drudzy zginęli gwałtowną śmiercią.

Warownie są iednym z sposobów używanych przez Xiążąt, ku zabezpieczeniu ich potęgi. Machiawel ma ie za niepotrzebne, czyli oni są od ludu kochani czyli nienawidzeni, i przepisuie im, iak postępować maią by sobie ziednali szacunek. Dostępuie się on mianowicie, przez wielkie przedsięwzięcia i świetne czyny: tymto sposobem Ferdynand Aragończyk, który utworzył tron Hiszpański, był iednym z Xiążąt Chrześciiańskich naywięcéy szanowanych. Radzi Xiążęciu swemu nie być nigdy oboiętnym w woynach, któreby nastąpić mogły między iego sąsiadami, zaszczycać talenta a nadewszystko wspierać rolnictwo i handel; dawać ludowi w pewne dni roku igrzyska i widowiska, i niekiedy znaydować się na zgromadzeniach cechów rzemieślniczych, w postaci przyiemnéy, lecz zawsze w świetnym i nakazuiącym orszaku. Przechodzi następnie do wyboru ministrów, wyboru tak ważnego, ponieważ od niego zawisło szczęście lub nieszczęście ludu; a który skłania na dobrą lub na złą stronę mniemanie publiczności o Xiążętach. Dobry minister, podług Machiawela, nie powinien myślić, iak tylko o dobrze stanu, bynaymniéy zaś o swoiém, a Xiążę nie powinien mu nic zostawić do żądania, w tém co się zaszczytów i fortuny tycze. To zaufanie, ta harmoniia między panuiącym a iego ministrem mogą być zatrute

przez podchlebców; ma się tedy Xiążę otaczać ludźmi mądremi, którzy mu wyiawią prawdę, ale wtedy tylko, kiedy od nich tego żądać będzie.

Mocą rozumowań i przykładem zdarzeń ustanowiwszy, że Xiążę zawsze podług okoliczności czasowych postępować powinien, Machiawel kończy, przez wystawienie nieco zabobonne, smutnego Włoch położenia, a przesadzonemi pochwałami zachęca rodzinę Medyceuszów, by się wzięła do broni, i uwolniła Włochy od iarzma cudzoziemców, których barbarzyńcami zowie. To czego on tak żarliwie żądał, w krótce po ogłoszeniu książki iego uiszczać się zaczęło. Papież, Medyceuszowie, dwie wielkie Rzeczpospolite i niektórzy mali Xiążęta Włoscy, wnet opanowali środek tėy piękněy krainy, o który dotąd mnóstwo drobnych tyranów, i kilka burzliwych Rzeczypospolitych ustawnie między sobą na nieszczęście ludu walczyło. Z cudzoziemskich zaś mocarstw iedna tam Hiszpaniia zachowała panowanie swoie, nad Medyolanem i obiema Sycyliami.

Wyiątki słowne z dzieła Machiawela o Xiążęciu.

Bym uzupełnił to, co dotąd o Xiążęciu Machiawelu powiedziałem, dodam krótkie lecz słowne z tėy księgi wypisy, które, podług mnie, naylepiėy wyświecaią panuiącą za czasów iego pol tykę, bo mnitemam, że więcėy położeniu w którėm się wtedy znaydowały Włochy, niż przewronemu rozumowi i charakterowi Machiawela, winniśmy te obmierzłe zasady, na których się po wielkiėy części gruntuie polityka iego.

Rozdział VII, o nowėm panowaniu, które się nabywa albo mocą albo szczęściem, iest iednym z nayciekawszych; przedstawia w nim Machiawel dwa przykłady Xiążąt, co naywyższėy władzy dostąpili za czasów iego, ieden wartością swoią, drugi szczęściem. O pierwszym, to iest o Frańciszku Sforcyi: ,,Że dostąpił Xięstwa Medyolańskiego, iedynie wielką swoią biegłością, i dochował bez trudów to, czego nabycie niemało go pracy kosztowało". Obszerniey on się rozciąga nad Cezarem Borgią, który uzyskał Państwo wsparty od oyca swego Alexandra VI. Papieża, a utracił go z śmiercią iego, chociaż czynił to wszystko co tylko człowiek biegły i roztropny działać powinien, by się zagnieździł w Państwie z cudzėy odebranėm ręki. Tu rozwiia zręczną politykę faworyta swego, którėy dwa tu tylko przytoczone przez niego wspomnę przykłady. Potężne w Romanii Ursynów stronnictwo, długo mu się opierało; pokonać go ze wszystkiėm nie zdoływaiąc, użył, iak mówi Machiawel, całego swego dowcipu ku oszukaniu Ursynów. Co mu się tak dobrze udało, że się z nim pogodzili, za sprawą nieiakiego Pawła którego uwiódł darami, i do tego stopnia zaślepił nieprzyiaciół swoich, że zawierzaiąc mu, dobrowolnie w ręce iego w Sinigalii wpadli. Tam zamordowawszy wszystkich naczelników, a przyciągnąwszy do siebie ich stronników, potęga iego tėm mocniėy zagruntowaną została, iż pod swoią trzymał władzą całą Romaniią i Xięstwo Urbińskie, i że ludy tameczne oddychać zaczęły pod iego panowaniem. Aże w tem zasługuie by był naśladowanym, nieco się nad tėm, mówi Machiawel, zatrzymam. Kiedy opanował Romaniią, uważaiąc iż była rządzoną od Panów chciwych, co raczėy łupili poddanych swoich niż niemi się opiekowali, i że rozbóy, zamieszki, morderstwa, panowały w tym kraiu, osądził że dla uśmierzenia go i zjednania sobie w nim posluszeństwa, należało mu ustanowić rząd surowy. Wybrał ku temu nieiakiego Remira d'Orco, srogiego lecz czynnego człowieka, któremu powierzył zupełną władzę. W krótkim czasie ten rządzca przyprowadził rzeczy do porządku i nabył wielkiėy sławy; lecz Xiążę obawiaiąc się, by władza tak nieograniczona, nie wzbudziła przeciw niemu poddanych nienawiści, ustanowił w środku kraiu, izbę sądową, w którėy każde miasto miało swego rzecznika, a dostrzegłszy że poprzednicza surowości ściągnęła na niego nienawiść, przyszło mu do głowy pewnego poranka, kazać rozsiekać Remira i wystawić rozpłatane członki iego na placu Cezreńskim, wbite na palu z zakrwawionym obok nożem, a to by okazał ludowi, że popełnione okrucieństwa nie pochodziły od niego ale od gwałtownego charakteru Ministra, — postępek śmiały i uderzaiący co uśmierzył oburzone przeciw niemu umysły.

W rozdziale VIII. mówiąc Machiawel o tych co zbrodnią dostąpili panowania, wspomina Agatoklesa Syrakuzańskiego tyrana, który go tym nabył sposobem i pomyślnie dochował. W rzeczy dodaie, twierdzić nie można, iż byto było cnotą zabiiać swoich współobywateli, zdradzać przyiaciół, być bez wiary, bez religii, bez ludzkości, bo te sposoby mogą nabyć państwo ale nie prawdziwą sławę. Uważaiąc nieustraszony umysł Agatoklesa w niebezpieczeństwach i niezłamaną stałość w prze-

ciwnościach, niższym go od naywiększych wodzów nie widzę, chociaż z innych względów nie zasługuie być umieszczony w rzędzie wielkich ludzi, dla srogiego okrucieństwa i tysiącznych zbrodni swoich. Porównywaiąc z nim Oliverotta z Fermo, co był uiarzmił za czasów Machiawela oyczyznę swoię; mówi iż tenże zabezpieczywszy panowanie swoie roztropną srogością, stał się nawet grożnym sąsiadom, i że byłoby równie ciężko strącić go z tronu iak Agatoklesa, gdyby go nie był z Ursynami złapał w sidła swoie Cezar Borgia w Sinigalii i tam nie udusił wraz z Vittelozzim, mistrzem iego w woynie i zbrodni. Mówiąc o tych, którym się nie powiodły ich okrucieństwa, dodaie: mniemam że to pochodzi od dobrego lub złego użycia srogości. Można ią nazwać dobrze użytą, ieśli wolno powiedzieć, że złe iest dobrêm; kiedy raz się tylko popełnia, i to ieszcze z potrzeby dla własnego zabezpieczenia, albo dla dobra poddanych swoich. Zkąd wnosi, iż przywłaszczyciel państwa powinien zarazem dopełnić wszystkich swoich srogości, by nie musiał ponawiać ich codziennie, i by mógł uwolnić poddanych od obawy i ziednać sobie ich przychylność dobrodzieystwami.

Czyniąc rzecz w rozdziale IX. o xięstwie cywilnêm, to iest mówiąc o Xiążęciu, co dostąpił panowania w oyczyznie swoiéy nie zbrodnią, ani żadnym gwałtem, ale za sprzyianiem własnych współobywateli, nazywa to Machiawel xięstwem cywilnem, otrzymanêm za pomocą ludu lub możnych. W tym przypadku życzy Xięciu starać się raczey o sprzyianie pierwszego niż drugich, i tę między inszemi daie tego przyczynę: że niepodobna uczciwym sposobem ani bez cudzéy krzywdy zadosyć uczynić możnym, lecz łatwo ludowi, rozsądnieyszemu od nich, bo oni chcą go uciskać, a on tego znosić nie chce.

Rozdział XV. obeymuie w sobie przyczyny pochwał lub nagan dawanych, mianowicie Xiążętom. Sposób nasz życia, mówi Machiawel, iest dalekim od tego czêmby być powinien. Ten więc który porzuca to, co się zwykle działo, dla uganiania się za têm, coby się działać powinno, szuka raczéy własnéy zguby niż ocalenia. Dla tego człowiek, co chce całkowicie być dobrym, wśród tylu innych którzy niemi nie są, zginąć prędzéy czy późniéy musi. Należy więc koniecznie Xiążęciu, co się chce na Państwie utrzymać, żeby umiał nie być dobrym, wtedy kiedy po nim tego okoliczności wymagać będą. Niżéy nieco dodaie, pewnie mi powiecie, iż Xiążę coby posiadał wszystkie dobre przymioty odemnie wskazane, byłby skarbem prawdziwym. Lecz prócz tego, że stan człowieka nie dozwala mu, ani wszystkich cnót posiadać, ani wszystkich dopełniać, Xiążę powinien być dość roztropnym, iżby umiał uniknąć ochydy występku, mogącéy go pozbawić władzy naywyższéy, a strzegł się innych, ieśli może. Lecz ieśli to nie iest w mocy iego, nie powinien zbyt dbać o to, ani się obawiać ochydy tych występków, bez pomocy których trudnoby mu było kray swóy ocalić. Bo wszystko dobrze zważywszy, są czyny, które się cnotą zdaią coby go zgubić mogły; kiedy przeciwnie są takie co choć się zdaią występkiem, mogą stać się źródłem szczęścia iego.

(Dok. nast.).

IGNACY ŁAWICKI.

Prasa... krytyka... teatr... aktorzy...

(Ciąg dalszy).

Ileż papieru zużyto już na to, aby odpowiedzieć na pytanie, co to jest krytyka, czyli to niby-subjektywne określanie tego, co ścisłości nie podlega i bezwzględnego wymiaru nie znosi.

Komentatorowie wielkich poetów silą się często na wytłómaczenie myśli twórców nawet i w tych wypadkach, gdy autor sam nie umiałby wytłómaczyć tego, co

rzut geniuszu podsunął mu pod posłuszne pióro. I już z tego rodzaju objaśnień wynikają bardzo ucieszne historje z których największą zabawę mają sami autorzy dzieł komentowanych, o ile „wyjaśnienia“ niezrozumiałych dla nich samych myśli zastają ich jeszcze przy życiu.

Ale prócz krytyki literackiej i naukowej istnieje jeszcze dziennikarska krytyka malarstwa, rzeźby, teatru, gry aktorskiej, muzyki, śpiewu i tańca, a co się w tej dziedzinie sprawozdań dzieje, trudno istotnie mówić o tem bez goryczy.

Jeden z najuczciwszych dziennikarskich sprawozdawców naszych po napisaniu krytyki z przedstawienia operowego wyznał mi otwarcie: że „właściwie w dzienniku ściśle informacyjnym nie powinno być żadnej krytyki wykonania, co najwyżej szematyczne sprawozdanie tej treści: p. X. grał taką a taką rolę, pani Z. śpiewała taką lub owaką arję; pan St. wykonał taki utwór na fortepianie, lub innym instrumencie i t. p. Ale rozwodzić się nad tem, że p N. grał „dobrze“ „znakomicie“, a pani Z. śpiewała „źle“—jest niewłaściwe i niesłuszne, gdyż to, czem ja się zachwycam, nie podoba się koledze memu, a to, co się jemu podoba, mnie się wydaje nieudatnem. A jeżeli uwzględnimy, że i publiczność dzieli się na takie obozy, to który z nich ma prawo bytu i słuszności?“

A że tak jest, że tak być musi, wiemy o tem doskonale, gdyż każde przedstawienie, każdy koncert dostarczają dowodów niemało, jakto jedna i ta sama rzecz często krańcowo bywa sądzona zarówno przez publiczność, jak i przez krytykę.

A jednak krytyka jest sumieniem sztuki...

Powinna zatem posiadać jeden warunek konieczny: uczciwość!

Krytyk jest w całem tego słowa znaczeniu sędzią cudzego losu, cudzego szczęścia i życia — powinien więc być głęboko i niepowierzchownie uczciwym.

A jakież ma ku temu kwalifikacje przeciętny nasz sprawozdawca teatralny czy muzyczny?

Kończy on nieraz jakiś fakultet, nic zazwyczaj z muzyką ani teatrem nie mający wspólnego, a częściej nie kończy go, lub nawet nie zaczyna, i wstępuje do jakiegoś dziennika w charakterze reportera, lub polityka. A że lubi teatr, częściej zaś „piękną“ połowę teatru, że pracowicie kształci swój spryt, że umie wyrabiać sobie stosunki, a urabiać redaktora lub wydawcę—obejmuje wreszcie najpoczytniejszy, najbardziej wpływowy, no i najintratniejszy dział: krytyki teatralnej! Nie był ani dramatopisarzem, ani aktorem, ale jest sędzią tych, od których, w znacznej większości wypadków, mógłby się właśnie tego lub owego nauczyć.

Co zaś do krytyków muzycznych i wokalnych to rekrutują się oni u nas albo z zupełnych dyletantów, albo też z teoretyków, historyków muzyki, rzadziej z pedagogów muzycznych, lub zawodowców.

Pół biedy, jeżeli chodzi o samą muzykę, lub jej wykonawców, w tej dziedzinie można jeszcze natrafić na niejaką w sprawozdaniach fachowość, ale jeżeli chodzi o śpiew — ktorego żaden z tych panów nie studjował — to dla specjalnie wykształconego czytelnika ten dział sprawozdań i krytyk jest formalnem nadużyciem, jest czemś nieuczciwem, nieetycznem.

Jako jaskrawy dowód tego rodzaju krytyki posłużyć może spór powstały niedawno między sprawozdawcami muzycznymi dwóch poczytnych dzienników, rodzaj pojedynku na słowa, w którym jeden z krytyków zarzucał drugiemu nieznajomość rzeczy, a ów drugi szykanował nie tylko osobę kolegi-krytyka, ale i wszystkich artystów przez niego chwalonych. Jeden pisał „białe“, drugi „czarne“, wcale nie dla tego, aby tak było w istocie, ale dla tego, aby obniżyć i ośmieszyć zdanie przeciwnika. Starcie, w którem ofiarami były nie osoby pojedynkujące się, ale osoby po-

stronne, żadnego udziału bezpośredniego w walce nieprzyjmujące, zaczęło być nieprzyzwoitem i redakcje same zmuszone były interweniować i powstrzymać walkę gladiatorów pióra, gdyż bawienie publiczności kosztem osób trzecich żadną miarą do etycznych zaliczone być nie mogło.

Nie może ulegać sporowi, że jeden z tych panów działał w złej wierze — i szkoda wielka, że redakcja dziennika, w którym krytyk ów swoje gminne, a pełne błędów zasadniczych wypracowania zamieszczał, nie skorzystała ze sposobności i nie wycofała namiętnego staruszka z areny publicznej — raz na zawsze.

Istną plagą sprawozdań teatralnych stał się również od niedawna brzydki zwyczaj reklamowania zaprzyjaźnionych „wielkości“, lub zaprzyjaźnionej dyrekcyi teatru, już nie tylko we wzmiankach reporterskich, ale i w sprawozdaniach „premierowych“, pozujących na poważną ocenę, przyczem krytyk — załatwiając osobiste rachunki — posuwa się nieraz do wielkiego nietaktu pisania o innym autorze więcej niemal, aniżeli o autorze sztuki, z której zdaje sprawozdanie...

Jak wiadomo Nowaczyński, w jednym z zeszłorocznych zeszytów „Świata“, w sposób dosadny, sobie jedynie właściwy, scharakteryzował krytyków. Pomijam wartość tej sensacyi, która tyle hałasu w swoim czasie wywołała. Nowaczyński wyrzucił z siebie nagromadzoną gorycz w sposób brutalny i bezwzględny, ale na obronę tego niepospolitego autora przyznać trzeba, iż stale był i jest przez pewien odłam krytyki krzywdzony i miał prawo bronić się i krzyknąć, że go boli!

Jakby w odpowiedzi na to w № 29-ym „Kurjera Warszawskiego“ z r. b. jeden z okresów sprawozdania z „Królewskiego jedynaka“ zaczyna się w ten sposób: „Wpatrując się w robotę artystyczną Rydla, mimowoli nasuwa się porównanie z robotą Nowaczyńskiego. Obaj do swych dramatów historycznych czynią przygotowania sumienne, z tą jednak różnicą, że Rydel w doborze materjału literackiego jest o wiele krytyczniejszy od autora „Cara Samozwańca“ i „Fryderyka Wielkiego“. Rydel nauczył się już wiele, zanim zaczął pisać dramaty, Nowaczyński uczy się dopiero, gdy je pisać zaczyna“.

I tak dalej w tym samym duchu i z tą samą tendencją, a w warunkach, w których szykanowany autor—ze względu na koleżeństwo z autorem „Królewskiego jedynaka“ — odpowiadać nie może.

Krytyk miał możność pisania o Nowaczyńskim niejednokrotnie z okazyi własnych sztuk Nowaczyńskiego i możności tej niejednokrotnie używał i nadużywał. Na cóż więc było mu uciekać się do środków niewłaściwych i z pierwszej-gorszej, najgorszej sposobności korzystać dla wywarcia gniewu wówczas, gdy sprawozdanie ze sztuki innego autora mogło być chyba najmniej odpowiedniem środkiem do załatwiania osobistych animozyi.

A jeżeli już mowa o Nowaczyńskim, to o ileż prościej i sprawiedliwiej utrafił w sedno rzeczy p. Henryk Galle w № 84-ym tegoż „Kurjerze Warszaw.“: „A potem, czuje się, że ten ferwor paszkwiliczno-satyryczny płynie nie z serca, lecz z żółci, że w tej duszy jest nienawiść zła, ale niema w niej miłości dobra. Liryzm był i jest zawsze najsłabszą stroną Nowaczyńskiego, zastępuje go karykatura uczucia, nieszczery sentymentalizm. I dlatego Nowaczyński nie może powiedzieć o sobie, jak Słowacki, że „sercem gryzie“. On zawsze drwi na zimno. A kto nie kocha szczerze, ten i nienawidzieć naprawdę nie umie.“

Mimo tych prawd jednak i mimo tej nazbyt przejrzystej żółci panów krytyków Nowaczyński, choć nie jest poetą, choć jest słaby w liryce i liryzm zastępuje karykaturą uczucia, choć ma w duszy nienawiść zła, a nie ma miłości dobra, chociaż dopuszcza się tak wielkiego grzechu, jak wyręczanie się reżyserami w przykrawaniu

ad libitum sztuk jego do warunków ram scenicznych, choć jest nienawidzony przez odłam „wielkiej“ krytyki—jest on, na razie przynajmniej, najzdolniejszym z żyjących dramaturgiem polskim.

Ale niestety... Nowaczyński napisał miażdżący krytyków artykuł, a Krzywoszewski umieścił tę pracę w piśmie, którego jest redaktorem — więc... bojkot na Krzywoszewskiego!!

„Rozstaje“ nie są pierwszą sztuką Krzywoszewskiego, pisał ich wiele. Ale w terminach wystawienia poprzednich sztuk należał on jeszcze do cechu wzajemnej adoracyi. Więc chociaż wtedy chwalono go niezmiennie — tak, iż krytyce raczej, a nie wartości istotnej zawdzięczał on wtedy powodzenie dzieł swoich—tym razem odwraca się od niego poważna twarz krytyki i powierza zastępstwo „sekundarjuszom“, aby napisali zuchwałemu przynajmniej połowę tej prawdy, na jaką matadorzy dotąd się nie zdobyli i aby na arenie publicznej za odstępstwo od praw oligarchii krytycznej znowu załatwiony został osobisty „porachunek“ i znowu zatryumfowała prywata — tam, gdzie jedynie sumienie i prawda decydować powinny.

Niechże więc ten nasz kaganiec światła, które chcielibyśmy umieścić wysoko, raz jeszcze rozświetli i w należytej postawi ocenie te sążniste sprawozdania o prokuratorze Hallersie, tę szczególną opiekę nad nietykalnością osoby p. Szyfmana, te zapewnienia codzienne, że niema śpiewaczki nad pannę Margosini, ani cudów nad cuda p. Śliwińskiego, wdzięk i kobiecość tej lub owej „ładnej“ aktoreczki, cudny głos p. Przybyłko i t p. rozrachunki osobiste, wielkie i małe, jak „dobrotliwość“ p. Dobrowolskiego, specyficzny swąd „sprawozdań“ p. Grubińskiego — i wogóle całą tę wzmiankarską tandetę myśli i słów, która na zamówienie uczy publiczność polską jak ma studjować, patrzeć i czuć, gdzie piękno jest, a gdzie szpetota...

(C. d. n.).

JAN GRZYMAŁA-GRABOWIECKI.

Nowa powieść Zapolskiej.

(Powieść G. Zapolskiej: „O czem się nawet myśleć nie chce“).

Każda nowa powieść Zapolskiej stwierdza wyraźnie, ile zasłużone jest jej stanowisko we współczesnej literaturze naszej. W walce przeciw obłudzie, pruderyi i kłamstwu bronią Zapolskiej jest bezlitosna, nieugięta prawda życia, które obnaża bez żadnych dla fałszywej skromności względów, z tem przeświadczeniem, że nagość, choćby najbardziej oślepiająca, złem nie jest, ani pogwałceniem uczuć etycznych; a tem-ci gorzej dla tego, kto nieskromnem patrzy okiem, albo zbyt tchórzliwem, aby przed nagością prawdy oburącz twarzy nie zasłonił.

Badawczy wzrok Zapolskiej odkrywa, kędy zabójczy rak obrał siedlisko i skąd żywemu ciału, społeczności, zagładą grozi. Czujące jej serce odkrywa pokrzywdzonych, krzywdę ich oczom jawi niechętnym i o sprawiedliwość woła. A choć tak współczująca niedoli ludzkiej pisarka ani nie leczy ran, ani nie goi, gdyż cudotwórczej władzy nie mają jej dłonie, — te jednak cieliste plastry z wrzodów zrywa najohydniejszych i ukazuje: Oto cierpienia twoje!

Przed Zapolską stoi człowiek. Nie jest on ani Polakiem, ani Francuzem, ani przyjacielem, ani wrogiem, — nie jest on ani mężczyzną, ani kobietą — jest człowiekiem. Człowiekiem, istotą żyjącą między podobnemi sobie, człowiekiem, niekiedy zapatrzonym w gwiazdy, niekiedy nurzającym się z lubością w błocie. Jest polem walki wzniosłych i nizkich popędów, złych pierwiastków i dobrych, jest celem tej walki, oraz wcieleniem stron wojujących. Nigdy nie zgłębiony przedmiot obserwacyi. Nigdy nie wyczerpane źródło—zarówno pieni natchnionych jak i klątw i piorunów.

Jest w życiu człowieka ton polifoniczny, który dźwięczy przez wszystkie wieków tysiące, ton miłosnego pociągu dwu płci ku sobie. A ileż w tym tonie dźwięków! Jakiż dźwięków tych nieogarniony diapason. Od upojeń czystej miłości, której nagrodą, owocem — nieśmiertelność, — ku brudnym, gwoli nierządnych chuci zaspokojeniu, czynionym gwałtom..

Zapolska nie jest piewczynią radości i szczęścia „na tym najlepszym ze światów" *) Ona powie nam raczej to, o czem ani mówić, ani nawet myśleć się nie chce.

Bo nie napróżno brzmią tak podobnie tytuły obu jej powieści. Obie one dopełniają się wzajem, a jeśli nie wyczerpują może wszechstronnie tego zagadnienia grząskich nizin życia płciowego, to wszakże oświetlając je z dwu stanowisk krańcowych, jako suma kontrastów — tworzą jakby całość.

Powieść wydana przed kilku laty **) — były-to tragiczne, rozpaczą łkające dzieje zareglamentowanej, opieką państwa otoczonej, więc niejako powagą jego usankcjonowanej „takiej" dziewczyny, — dziś ***) są to dzieje tragiczne, rozpaczą łkające, młodej matki. Tam — działa się krzywda okropna! Zagradzano ofierze drogę do odwrotu, gdy po pochyłości spadając w dół, pragnęła zatrzymać się w swoim upadku, i spychano ją aż na dno samo występku i przekleństwa; krzywda niesłychana, której nie wolno tłomaczyć ani dobrowolnością pierwszego kroku dziewczyny, ani dbałością o zdrowie społeczne, ani wogóle żadnym innym względem. Tu — dzieje się krzywda okropniejsza jeszcze, bezprzykładna krzywda czystego, niewinnego dziewczęcia, które żoną i matką zostaje, oraz niewinniejszej jeszcze istoty, dziecięcia, którego przewiną jest chyba to jedynie, że zostało w zmazie grzechu pierworodnego poczęte, oh! w przekleństwie rodu ludzkiego!

Fabuła powieści prosta, tak bardzo prosta, że prawie w powyższych słowach już streszczona. W zaciszu domowem, które miało być światem i rajem dla młodej żony, jawi się *zaraza* i niesyta ofiar kładzie jadowity stygmat przekleństwa już nawet i na czole dzieciny, ukrytej jeszcze w łonie matki... Po urodzeniu dziecię niebawem ślepnie i niezadługo umiera. Młoda kobieta, dotychczas nieświadoma, tak nieświadoma, że aż nieświadomość jej szła w parze z dziełem zarazy, teraz dopiero, w tych tragicznych przeżyciach pojmuje wszystko.

Gdzież wina? Któż jest winowajcą? Zbrodniarzem? Odpowiedź zdaje się tak prosta i jedyna. Mężczyzna. On był tem ogniwem, wiążącem czystość i niewinność życia z jego brudem i zakałą; on był posłannikiem trądu, jego pocałunek skazywał na śmierć, przez tchnienie jego ust jadowite, trujące wyziewy bagna zwarzyły piękny kwiat młodości i pączek niemowlęctwa. W istocie, dla tego mężczyzny, dla Żdzicha, męża Marysieńki — niemasz wyrozumienia, a spokój ducha i dobrotliwość jego własnego sumienia, które nie czyni mu wyrzutów i nie zakłóca spokojności,

---

*) Wedle niezłomnego przekonania wolterowskiego doktora Panglossa, niezłomnego nawet w chwili, gdy wypluwa wraz z krwią wybite zęby.

**) Zapolska G. „O czem się nie mówi" — Warszawa 1909.

***) Zapolska G. „O czem się nawet myśleć nie chce" — Warszawa 1914.

zamąconej chyba paromiesięcznym okresem obawy o własne zdrowie — wstrzymują na ustach słowa potępienia, tak bardzo jest on godnym pogardy.

Ale czy wobec bezwzględnej, niezaprzeczalnej winy tej właśnie jednostki wolno składać ciężar odpowiedzialności za takie, tym podobne i jeszcze inne codzienne tragedye życia na ramiona jedynie mężczyzny? Albo raczej, inne należy postawić pytanie: czy taki właśnie wniosek leży w poglądach i intencyach Zapolskiej?

Otóż nie.

W tym dopiero momencie wyraźnie występuje na jaw związek ideowy obu powieści. Zapolska zbyt czującym jest ideologiem społecznym, aby miała tak rozwiązywać palące pytanie przyczyny nierządu, lub rozwiązanie to przesuwać dalej o to jedno zaledwie ogniwo w łańcuchu nieskończonym sprzecznych dowodów. Żadna z obu płci nie może zwalać przewiny na drugą, gdyż każda racya znajdzie tu swą przeciw-racyę. Zapolska na tej drodze w bezskutecznych argumentach się nie gubi. Rozumie ona potężny głos płci, rozumie, iż w dzisiejszych warunkach społecznych: „Siłę swą życiową, nadmiar ducha i ciała, który wytwarza w mężczyźnie nieznana potęga, tak genialnie normująca utrzymanie gatunków, człowiek ten uważać musi jako swą torturę i chorobliwie zapierać się wypełnienia przeznaczenia swego... albo winnym być bez winy“ *). Daleką jest Zapolska od potępienia głosu natury w jej zdrowych, błogosławionych przejawach, głosu, który normą jest ustroju społecznego. Lecz właśnie, dwie owe powyższe, rozpaczliwe alternatywy są specyficznym wytworem wadliwie zbudowanego społeczeństwa. Ptaki leśne, skoro poczują już w sobie pełnię sił życiowych, wiją gniazda i puchem z własnych piersi mięciuchno je ścielą; mężczyzna zaś, skoro w walce życiowej potrafił zdobyć już kęs chleba, pod grozą nędzy proletaryusza musi albo: „chorobliwie zapierać się wypełnienia przeznaczenia swego, albo winnym być — bez winy“.

Winowajcą tedy czyni Zapolska społeczeństwo i jego ustrój wadliwy. Jakie zaś znajduje remedium, czy może rozdzielenie pracy około ponoszenia trudów życiowych między obie strony związku monogamicznego — zostawmy pytanie to bez odpowiedzi, gdyż doprowadziłoby nas ono do roztrząsania powieści z przed lat pięciu, a tę przyzwaliśmy jedynie dla wyjaśnienia zasadniczej, ideowej wątpliwości, którą nam nasunęła powieść ostatnia.

Zniknie jednak resztka tej wątpliwości wtedy dopiero, gdy z postaci Zdzicha, dla którego nikt mieć nie może, więc i Zapolska nie ma słowa obrony, odwrócimy spojrzenie—na postać nieznajomego mężczyzny. Pojawia się on w powieści jako czynnik artystyczny dość zagadkowy. Przypadkowo, niby ukradkiem, wciska się na tę i inną stronniczkę. Wkrada się w marzenia Marysieńki, tak, że staje się zwolna jakby jej odwcielonym, immateryalnym kochankiem, aż wreszcie w chwili, gdy wszystko przed nią w grób się wali, wymarzona jego doskonałość pryska w szczerem wyznaniu mężczyzny. Czyliż postać ta nie nabiera istotnego znaczenia, właśnie jako przesłanka ku obronie naczelnej tezy służąca? Jego właśnie potępić Zapolska nie pozwala, gdyż on właśnie jest ofiarą fatalnego ustroju. Że Marysieńka odtrąca nieznajomego – rzecz naturalna, gdyż inaczej postąpić nie może ona, matka bolesna — lecz sama czuje, że „z uporem pijanego pozostaje przy swoich wierzeniach i odczuciach“.

Ciężar odpowiedzialności za krzywdę dziecka—tej najniewinniejszej z ofiar — spada w części na jeden jeszcze objaw wadliwego ustroju: pełne nieuzasadnionych skrupułów wychowanie młodej matki. Bezwzględna nieświadomość Marysieńki, jej

---

*) „O czem się nie mówi“ — str. 48.

bezbronność wobec grożącego nieszczęścia sprzyja najdoskonalej dziełu zniszczenia. Nieświadomość! Czyż może istnieć podłoże bardziej idealne dla bądź jakiego zła, czyhającego na ofiarę. A pośpieszmy wszakże zaznaczyć, iż wadliwość wychowania Marysieńki, aczkolwiek najwyraźniej potępioną przez autorkę, całkowicie usuwa na drugi plan zbrodnicza po wtóry kroć lekkomyślność mężczyzny: iż przecie rozumiał on istotę swego czynu i możliwość jego okropnych następstw.

Tragedyę życia Marysieńki poprzedza proces psychiczny jej duszy, proces niemniej tragiczny, w którym z przed oczu świadomej tylko szczęścia i piękna dziewczyny opadają zwolna wszelkie świetlane iluzje. Poczyna się to od przypadkowego zetknięcia się na ulicy z dawną „kochanką“ Ździcha, jedną z wielu „takich“ jego kochanek, jedną z wielu, które są „takiemi“ kochankami. I odtąd dzień każdy zdziera już stopniowo różowe przesłony... Marysieńka zapragnęła jednak pozostać czystą, nieskalaną bryzgiem ulicznego błota, poczęła więc snuć marzenia o macierzyństwie. Wtedy życie dosięgło ją najokropniej w tej ostatniej ucieczce, zwaliło na jej głowę gromy najstraszniejsze. Nieszczęście z dziedziny psychicznych, bądź co bądź na chorobliwem podłożu wzrastających przeżyć wzrosłe — przeszło i wcieliło się w treść jej życia najistotniejszą.

Wobec ogromu tych ciosów pozbywamy się skwapliwie pobłażliwego nieco współczucia, którego doznawaliśmy dla chorobliwych nieszczęść, zrodzonych w przewrażliwionej duszy Marysieńki z jej opornego, niezłomnego wobec nizin życia stanowiska, — a bolejemy natomiast całem sercem i wierzymy, iż anormalne przeczulenie zrodził w niej ów tajemniczy instynkt samoobronny, którym zwierzę przeczuwa śmiertelnego wroga.

I teraz już i na czytelnika przychodzi kolej przeczulenia. Jak ostra szpada godzi w nas konsekwencya ostatniego przewrotu myślowego Marysieńki, która „zrozumiała, że ona właściwie jest w cieniu, a tamte w światłości i że cnotliwość jej jest wielką melancholią i nudą życia“.

Powieść kończy szarpiący, zgrzytliwy akord, — nazbyt brutalnie raniący wytrzymałość estetyczną czytelnika. Oto zgraja publicznych dziewek wciąga Marysieńkę w zwadę uliczną; zostawiamy ją w urzędzie policyjnym w towarzystwie pojmanej razem z nią dziewczyny, zostawiamy ją wobec pytania urzędnika: co ona ci zrobiła? A ten zgrzyt ostatni, tak bardzo zbyteczny na tem miejscu, niesmak już tylko budzi w czytelniku.

O Ździchu, mężu Marysieńki i ojcu jej dziecka, więcej nad to, co o nim w powyższych uwagach powiedziane było, mówić już nie trzeba. W porównaniu jednak z postacią młodej kobiety, odrysowywanej w najniklejszych drgnięciach jej serca z przedziwną znajomością psychiki kobiecej, — z postacią, której dusza nie ma najmniejszych dla czytelnika tajemnic — obraz Ździcha wydaje się nam przejaskrawiony, jak klisza fotograficzna prześwietlony aż do zatarcia subtelnych odcieni. Dla jego zbrodniczej lekkomyślności, beztroski nierozumnego zwierzęcia można-by znaleźć przykłady chyba tylko wśród jednostek wyjątkowo zwyrodniałych.

Tok powieści przerywają liczne dywagacye w tonie poetyckim o charakterze refleksyjnym, a są to niejako transpozycye realnej fabuły na język symbolów i syntez. Ale niestety jędrny, krzepki styl Zapolskiej ulega wtedy załamaniom i napusza się niemiło i sztucznie, jak np. na pierwszej zaraz stronicy: ramy okienne, podobne do krzyży „rozsnuły swe skrzydła wązko złożone i spływały prostą linią swych ciał androgynowych na rampy okienne. I strzegły tak mimo wszystko pentagramicznie rechot, służący im za bolesne tło, siekące je chłostą...“ Po zatem język Zapolskiej mocny, subtelny i dźwięczny raz jeden szpeci w zdaniu: „zdawało jej się, że tylko

głowa planuje w przestrzeni“ (str. 178). Słowo to „planuje“ snadniej przecie łączyć nam z pojęciem słowa: plan — już na niwie ojczystej naszej zakorzenionego—niż z treścią obojętną dźwięku słowa: „*planer*“. Ale szczegóły to małoważne.

Bo głębokość tezy społecznej i mistrzowskie wcielenie jej w utwór literacki jak niemniej subtelność wizerunku psychologicznego bohaterki i wstrząsające przedstawienie jej dziejów — to istotne i trwałe wartości ostatniej powieści Zapolskiej.

PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAŃ

BEZ KOMENTARZY.

Z libreta operetki „**Zuchwalec**“, które wydał własnym nakładem i „opracował“ — **Ludwik Śliwiński:**

Strona 3. — wiersz 4-y od góry:

„Witaj błogi ty nas wieczorze!“

Strona 3. — wiersz 9-y od dołu:

„A ty woźny siedź kołkiem,
Wciąż na straży stój...“

Strona 16. — wiersz 5-y od góry:

„Twe skrzydła spopielały
I bo masz z tego, co?“

Strona 20. — wiersz 11 y od góry:

„Skoro bawisz u mnie w gości
Nie myśl wcale o żałości,“

Strona 20. — wiersz 7-y od dołu:

„Kto ma z życiem walczyć srodze
Musi serce wziąć na wodze!“

Strona 21. — wiersz 13-y od góry:

„Aj! aj! tak trudno było mu
Własnoręcznie stanąć tu?“

Strona 22. — wiersz 8-y od dołu:

„Pierwszy całus na usteczka twe
Per procura — patrzy mnie!“

Strona 30. — wiersz 4-y od góry:

„O! wielbiona ty! O! przymkniona ty!
Usłysz tony te!
Przyjdź, uszczęśliw mnie luba!
Droga nie bądź sroga!..“

Strona 30. — wiersz 12-y od góry:

„Plam, plam, plam, plam!
Wraz dłoń podamy,
Cóż nas obchodzi świat!
Plam, plam, plam, plam!"

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Lucjan Rydel. — „*Zygmunt August*" — Trylogia. — Trzy tomy. — Część pierwsza: „Królewski Jedynak" — Część druga: „Złote więzy" — Dramat. — Część trzecia: „Ostatni" — Dramat. — Kraków 1913. — Nakład S. A. Krzyżanowskiego. — Skład główny w Warszawie w księgarni E. Wende i S-ka. — Stron 166 + 137 + 148 — Cena: 4 rb. 80 kop.

Lucjan Rydel. — „*Betleem Polskie*" — W Krakowie. — Nakładem księgarni D. E. Friedleina. — Stron 90 — Cena: 80 hal.

Lucjan Rydel. — „*Katedra na Wawelu*" — Przewodnik ludowy po katedrze wawelskiej — Kraków 1913. — G. Gebethnera i Spółka. — Stron 50 — Cena: 50 hal.

Fortunat Strowski. (Profesor Sorbony). — „*Obraz literatury francuskiej w dziewiętnastym wieku*" — (Z przedmową autora do wydania polskiego). — Przekład Maryi Rakowskiej. — Słowo wstępne Jana Lorentowicza. — Z portretem autora. — Tom I. — Od XVIII-go wieku do romantyzmu. — Okres romantyczny. — Tom II. — Ruch humanitarny. — Tryumf idei pozytywnych. — Okres współczesny. — Warszawa. — Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. — Składy główne: E. Wende i Spółka w Warszawie, L. Fiszer w Łodzi. — Stron 280 + 390 — Cena: 4 rb.

Giosue Carducci. — „*O rozwoju literatury narodowej*" — Słowo wstępne Wład. Jabłonowskiego, przekład Heleny Grotowskiej. — Biblioteka „Muzy" — Nakład i druk S. Orgelbranda S-ów. — Składy główne: E. Wende i S-ka Warszawa; H. Altenberg, G. Seyfarth, E. Wende i S-ka. Lwów. — Stron 253 — Cena: 75 kop.

Ks. Władysław Szczepański. — „*Bóg-Człowiek w opisie ewangelistów*". — Nowy, synoptyczny przekład czterech ewangelii w jednej. — Z przedmową ks. arcybisk. metropolity J. Bilczewskiego. — 34 obrazów Jana Fra Angelika. — Rzym 1914. — „Papieski Instytut Biblijny" — Stron 470 — Cena: 6 rb.

Adam Szelągowski. — „*Dzieje powszechne i cywilizacyi*" — Tom II, — (Grecya archaiczna. — Grecya bohaterska. — Grecya wolna. — Panowanie Grecyi nad światem). — Z 279 ilustracyami, z planami i 3 mapami. — Warszawa. — Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów — Składy główne: E. Wende i Spółka, w Warszawie; H. Altenberg, G. Seyfarth E. Wende i S-ka we Lwowie.—Stron 392.

Orsyd (Anna Limprechtówna) — „*Własną drogą*" — Powieść współczesna. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Stron 339 — Cena: 1 rb. kop. 80.

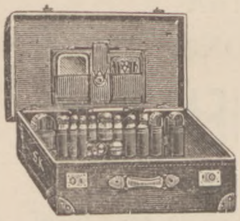
Emma Jeleńska. — „*Trzy pokolenia*" — Powieść. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Stron 278 — Cena: 1 rb. 35 kop.

(C. d. n.).

ZAWIADOMIENIE.

Poprzedni zeszyt „Przeglądu Krytyki" uległ konfiskacie. W następstwie zatwierdzenia tejże konfiskaty przez P. Prokuratora pociągnięto redakcję pisma naszego do odpowiedzialności sądowej z dwóch najostrzejszych paragrafów kod. karn. z roku 1903-ego.

Administracja „Przeglądu Krytyki".





W NAWIASIE.

* * *

Umarły moje kwiaty — —
moje kwiaty czerwone umarły —

Kiedyś, przed laty
kwitły czerwone kwiaty — —
Na górach kwitły, w słońcu — —
Kielichy otwarły
jak usta czerwone, gorące —
i piły słońce — — —

Słońce kwiatom spaliło koronę
i moje kwiaty umarły
moje kwiaty umarły czerwone. —

Słońce się śmiało, śmiało, śmiało!
Kiedyś przed laty
przez wiosnę całą
w górach do kwiatów śmiało się słońce
i kwitły kwiaty czerwone.

Miłością drżące
moje kwiaty umarły spalone —

— — — Umarły kwiaty — —

A w górach śmieje się słońce
tak jak przed laty — —

Ada Homolacs.

* * *

Gdyby tak można cicho zasnąć — —
w jesienny blady dzień — —
W poświacie złotych drgnień
— — — zagasnąć — —
Jak gaśnie cień —
. . . .
I w śnie ostatnim już nie pomnieć
o wszystkich przeszłych snach — —
O wypłakanych łzach
— — — zapomnieć — — —
. . . .
W błękitnych mgłach
w tumanie złotych pyłów zginąć
ostatnich słońca tchnień — —
Bez wiedzy i bez chceń — —
— — tak minąć —
jak mija dzień — — —

* * *

Za oknem staje blady świt
i martwe oczy we mnie wpija
jak trupi wid — —
Na piersi mojej kładzie dłoń
zimną rozpaczą co zabija — —
. . . .
W bezdenną toń
martwych i zimnych grąży fal — —
I sinym kwiatem się rozwija
w rozpaczny żal — —
Milczący, ciemny, tak jak byt — —
. . . .
I mówi mi — że wszystko mija —
ten martwy świt.

Ada Homolacs.

Wydawca: Józef Krobicki ul. Zgoda 6. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Badowski.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.